

PLISZKA W JASKINI LWA

nie ma

+

M. J. WIEŁOPOLSKA

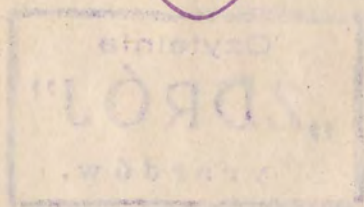
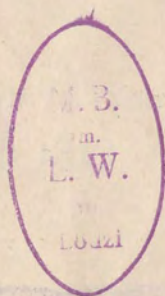
PLISZKA W JASKINI LWA

ROZWAŻANIA NAD KSIĄŻKĄ PANNY IŁŁAKOWICZÓWNY
„ŚCIEŻKA OBOK DROGI”



WARSZAWA — 1939

884-1/05)



*....abyś opowiedział niektórym, by się
nie barwili baśniami, które raczej gadki
przynoszą, niżli zbudowanie.....*

*(List pierwszy św. Pawła do
Tymoteusza. Roz. I, 4).*

SŁÓWKO U PROGU.

Utarło się mniemanie, że kobiety piszące są zawistne o koleżanki po piórze. Szybko chcę się tedy wytłumaczyć, jak jest z niniejszą broszurą, że mianowicie ona niema nic wspólnego z konkurencyjnymi sprawami.

1-o. Z literatury wycofałam się dawno i patrzę na nią z boku, zimno, bez szczególnych zachwytów, ale i bez rankoru.

2-o. Byłam tą, która przeprowadziła zajadłe publicystyczne walki ongiś w Małopolsce o atakowane utwory Marji Dąbrowskiej, a później w Warszawie o Kuncewiczową, a te pisarki były dla mnie — wówczas czynnej — groźnemi chyba konkurentkami.

Nie znam zawiści literackiej. Natomiast znam furję, pasję polityczną. Natomiast znam jedno uczucie, które zakryło mi świat kłopotów osobistych, aspiracji i celów: miłość bez reszty i uwielbienie bez granic dla Marszałka Józefa Piłsudskiego. Rzucam się na oślep w wir najnierówniejszej nieraz walki, gdy będzie chodziło o Niego, o Jego wielkie Imię, o Jego nietykalną Osobę. Wzburza mnie nietylko świętokradczy, podstępny i małoduszny jakiś akt, w rodzaju niepoczytalnej eksmisji wawelskiej, dokonanej przez Sapiechę — wzbudzają mnie nietylko jawne napaści, ale i wzburza mnie głos każdy rzekomo pochwalny, rzekomo przychylny, traktujący sprawy związane z Marszałkiem bagatelizująco, figlarnie, z wdzięceniem się i kokieterją.

Przeczytałam „*Ścieżkę obok drogi*“ — nie ścieżkę! — na-

wet nie ślad! — nawet nie smugę na lotnym piasku obok najwysokopienniejszej Drogi polskiej i — osłupiałam. Dla wrócenia do przytomności przeprowadziłam kilkanaście rozmów o tem z rozmaitymi przyjaciółmi mego obozu, z ludźmi równie wybuchowymi i mniej wybuchowymi jak ja: wszyscy orzekli jedno; *książkę tą należy tępić bezapelacyjnie i bezmiłosiernie na terenie młodzieżowym, na terenie całego kraju i zagranicy.*

Stąd powstała ta broszura. Mimo że na okładce „Ścieżki“ figuruje nazwisko znanej poetki, panny Kaźmiery Illakowiczówny, omawiam książkę tak, jak się ona przedstawia czytelnikowi, nie ulagodzonomu nazwiskiem cenionej poetki. Jest to zresztą jej debiut prozą, więc traktować to można jako debiut *wogóle* — nieprawdopodobną opowieść jakiejś księżycowej panny Kazi, która, po lwowsku mówiąc, spadła z byka i nie wie o co chodziło przez ostatnich lat 25, poza interesem jej osoby, jej kariery urzędniczej, jej koneksji towarzyskich, jej garderoby, jej ważności. I — niechby pisała sobie pamiętniki, jakie piżamy w groszki i bez groszków nosiła, jak polowano w sztabach na jej zbyt odkryte kolanka, jak strzelała do celu, a nie chciała strzelać do gołębi, jak wiele się nauczyła o polityce od pewnego zduna, i famdeszambry, jakimi złodziejskimi melinami wydawały się jej warszawskie redakcje — jej rzecz! Uśmielibyśmy się trochę w tych smutnych czasach i koniec. Ale jeżeli ta owa księżycowa panna Kazia miesza do swoich osobistych sukcesów, kręćków, wdzięczeń i snobistycznych blag, największą i najświętszą dla nas postać Józefa Piłsudskiego, jeżeli próbuje — najmniej do tego powołana — prowadzić nas i naszą młodzież do Niego jakimiś ciemnymi, zaśmieconymi schodami kuchennymi, to bez względu na to, czy podniesienie oręża przeciw niej wywrze skutek dodatni, trzeba go podnieść. Bylibyśmy *od niej* nawet małoduszniejsi, gdybyśmy go niepodnieśli.

Nie mówię niczym imieniem specjalnie, mówię imieniem własnem i tysiący myślących jak ja, do głębi zgorszonych

książką księżycowej panny Kazi. Zgorszeniu trzeba zapobiedz, kres położyć. Może się zmięguje sama księżycowa panna Kazia i cofnie nakład? nie wiem, ale akt protestu jakiś musi nastąpić. Wszystkie delikatne, koleżeńskie krytyki, mnej lub więcej kokietujące czy wykpiwające pannę Kazię po gazetach, do niczego nieprowadzą. Musi się ona dowiedzieć co myśli o jej memoirowym debiucie garstka, wcale nie tak znikoma, ludzi, związanych sercem, krwią, nerwami, duszą ze sprawą Marszałka Piłsudskiego, jeżeli nie z Nim Samym — ludzi, których nie olśni ona ani swoimi rzekomo wysokimi protektorami, ani dalekobieżnymi zasięgami, ani sławą poetki, ani swoimi stosunkami.

Powoływanie się na męskie, tragiczne nieraz i wstrząsające wspomnienia Generała Składkowskiego, pogarszają tylko jej sprawę. Zdaje i tu egzamin z nieorientowania się w tego rodzaju przeżyciach. Gdzie Rzym, gdzie Krym?!

Co do mnie: nie spotkałam się w ciągu mojej egzystencji z równie niepojętą książką.

M. J. Wielopolska.

Zacznijmy od rzeczy ubocznej, od odsełaczy. Na jakim poziomie umysłowym na miły Bóg, stoją te siostrzenice autorki „*wyrosłe już na duże panny*“, jeśli się dla nich pisze w stylu popularnego wykładu dla analfabetów, w sałatkowym pomieszaniu, podobne objaśnienia: co to jest PPS? kim był Stanisław Tarnowski? Bolesław Limanowski, Stanisław Witkiewicz, akt 5 listopada, kto to Prezydent Narutowicz, partja Wyzwolenia, co to bufet, wypadki majowe, czym jest heroizm, wydział personalny, Aleksander Skrzyński, róże i spluwaczki, protokół dyplomatyczny, regeneracja krepdeszyny, odprawa wojskowa ect. Czyżby nawet „*niedorosłe*“ panny, o ile nie należą do kategorii pomocnic domowych drugiego stopnia, nie znały tych spraw dokładnie? Smętne pojęcie ma autorka o stanie oświaty i kultury w Polsce!

Ale rzućmy odsełacze i, wyraźnie niedorozwinięte siostrzenice i bierzmy się do książki, rozdział za rozdziałem.

Pewien pisarz typu egocentrycznego, Hans Heins Ewers, pojechał do Indji i napisał książkę: „*Indien und ich*“ — dziwili się ludzie temu zestawieniu. — Autorka „*Ścieżki*“ pojechała w głąb polskich dziejów i napisała o tem rzecz jeszcze dosadniejszą: *Ich und Indien — Ja i Polska*, bo przecież po pierwszych kartkach tej lektury, już jest czytelnik zorientowany, że wyrażenie, mające markować skromność fiołka: „*ścieżka obok drogi*“ to tyle co *Ferdynurke*.

Odrazu już na okładce zapowiada się skandal, kiedy czytamy werset Mateusza jako motto: „*ci ostatni jedną godzinę robili, a uczyniliś ich równymi nam, którzyśmy znosili cię*“

zar dnia i upalenia"... Zapamiętajmy to sobie: r ó w n y m i!!!

A teraz — zapomnijmy o nazwisku poetki, które tu niema nic do czynienia i szybko, w skrócie, przedstawmy sobie kto tu i komu jest *równy*?

Jest krwawiąca się w nadludzkich wysiłkach rzesza, jest Polska przeorana szańcami, jest nad tem cudowny, zesłany z zaświatów Człowiek Józef Piłsudski, a po drugiej stronie niejaka panna Kazia.

Rok 1911. Panna Kazia jest studentką uniwersytetu w Krakowie, nienajmłodsza, lecz niewiedząca nic o tragedji swego narodu, o prądach politycznych, o dążeniach niepodległościowych, o Józefie Piłsudskim, wykpiwająca swoją siostrę, Basię, która właśnie zatonała pracowicie i ofiarnie w tychże zagadnieniach.

Z tego okresu w Krakowie, niczego prawie nie pamięta panna Kazia, mówi że ma pamięć „*notorycznie zajęczą*“. Nie wie w pień, kiedy się wszyscy rozjechali, kiedy znikł Pan Józef, ani nawet skąd i jakim cudem znalazła się w Anglii. Przeżyła w eterach jak cudowny Domek Loretański.... Pamięta tylko, że na obchodzie Limanowskiego miała czarną, alpagową suknię z białym kołnierzem....

W Londynie słyszała panna Kazia, że „*Pan Józef robi w Polsce powstanie*“, więc czempredziej skomponowała hymn powstańczy „*Trzy Struny*“ i wysłała go do kraju, do Pana Józefa, z zawiadomieniem, że uczy się w Londynie strzelać do celu i że chce zostać jego adjutantem. Pan Józef znalazł czas, aby odpowiedzieć pannie Kazi ponoś długim listem, że na jej adjutanturę nie reflektuje i że ona, p. Kazia, nie orjentuje się widocznie czem są kadry strzeleckie. O Trzech Strunach milczał. Panna Kazia obrazila się i list podarła. Pocięszyła się tylko myślą, że, o ile milczenie na temat tak doniosły, jak owe trzy struny jest obelgą, o tyle jest pewne, że powstańcy polscy śpiewają już gremialnie jej hymn. Zaraz tu w założeniu zapowiada się dominująca cecha panny Kazi: dufność w siebie przechodząca wszelkie granice.

W tych fochach i obrazach, znajduje ona — (co objaśnia

w odselaczu) „może śmieszność, ale i wielką siłę młodości”. Zważmy, że mówiła to nie w Londynie, temu blisko 30 lat, ale dzisiaj, gdy wie jak walczyli i marli na szubienicach właśnie wtedy — młodszy od niej zapaleńcy, siłę młodości, szlachetną i istotną ukazując.

Tymczasem ze zdziwieniem i nieukrywaną irytacją, stwierdziła panna Kazia, że powstańcy wcale jej hymnu nie śpiewali. Dziwna rzecz! woleli walczyć, maszerować i umierać w takt piosnki:

*Jedzie jedzie na Kasztance,
simy strzelca strój,
hej, hej Komendancie,
miły Wodzu mój....*

To było niegodne i to zadecydowało o orientacji politycznej panny Kazi. Przestała się zupełnie interesować powstańcami i Panem Józefem. Była, powiada, „zdruzgotana i wściekła”. Wszystko o te *Trzy Struny*. Toteż gdy nadszedł rok 1915, który ją zastał w Dźwińsku, zapisała się *ohne weiters* do czołówki sanitarnej przy armji rosyjskiej. Może być, że czołówka przyjęła jej hymn? Z gniewu i urazy też, postanowiła widocznie lgnąć tylko do ludzi i domów specjalnego pokroju, gdyż wyznaje otwarcie, że od roku 1914 do 1918 „nie spotkała ani jednego człowieka, któryby nie był przeciwnikiem Pilsudskiego”.

Dziw!

Już Polska dawno rozbrzmiewała od morza do morza słodkim i upajańcym rycerskim rytmem legionowej legendy — już Imię Pilsudskiego nie schodziło z ust szczerze polskich, już setki szarych żołnierzyków zginęło na Jego rozkaz, a panna Kazia nie o Nim dobrego nie słyszy w swoim *entourage'u* i tylko kłopotuje się wierszami. W 1917 r. wydaje w Rosji tom poezji, pod owym nieszczęsnym tytułem „*Trzech Strun*”. Tłumaczy nam — (dosłownie!) — że zadedykowała powyższy tomik panu Józefowi (zapewne z zachowaniem wszel-

kich ostrożności! Nieznamy tej dedykacji, ale znamy już pannę Kazię!!!), że była w tem „*wola zamanifestowania wierności (!?) wobec Twórcy Legionów, ale przedewszystkiem rolę grała chęć pewnego moralnego odmetu za rozgardzenie jej roierszem. Książka miała w jej oczach być, poza holdem dla tamtej strony, trochę zarostydżająca, przez rospaniałomyślny dar owej dedykacji*“... Czytając te niebywale słowa, zważmy, że panna Kazia nie miała wtedy lat dwunastu, że miała już dwadzieścia kilka lat *bien sonnès*. Płonął świat, panna Kazia sadziła różyczki poczji. Nieistniał dla niej motyw: *szkoda ratować róż, gdy płoną lasy*....



W 1918 r. jesienią, bolszewicy wypuścili ją z Rosji, pan Jerzy Barchwic zaopatrzył jej paszport w Bessellerowską „*markę*“ do Rady Regencyjnej, a pan Tytus Filipowicz, spotkawszy ją, dał jej z miejsca już 18 listopada posadę sekretarza w Min. Spr. Zagr.

To się nazywa mieć szczęście!!!!

Choć to był ów najsłynniejszy polski listopad, choć tydzień temu wielki Więzień magdeburgski wrócił właśnie do Warszawy i powstało Państwo polskie niezależne, drżące w posadach z upojenia i walk, ani śladu o tych faktach w memoirach panny Kazi. Gdzieżby sobie zaprzętała tem główkę, niemniej ten dziwny rozdział obejmujący dni listopadowe, kończy niespodzianie słowami, że przyszedł pewnego dnia Józef Piłsudski do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i — słuchajcie! słuchajcie!!: „*Nie zginął, nie umarł, doprowadził — jest!!! nigdy wiara moja nie doznała tak wyraźnej nagrody, nigdy tak się nie czułam zwycięska jak w ten mokry, zimny wieczór*....“ Zwycięska panna Kazia wcale niedostrzega, że ten frazes w tym miejscu brzmi w jej ustach zupełnie jak ów dowcip żydowski:

— *Miśmy zwyciężyli!*

— Kto „my“ — !?

— Nu ci co zwoyciężyli.....

Każdą rzecz traktuje pod kątem swej wdzięcznej osóbk. Dobrze i ważne tylko to, co korzyść przynosi pannie Kazi, lub zdobywa jej chwilowy aplauz. Nawet gdy dostrzega w Warszawie Żyda exkomisarza sowieckiego pod zmienionym nazwiskiem, nie ostrzega kogo należy. Ona przecież wzruszyła się kiedyś faktem, że ten właśnie komisarz... uratował Ermitaż w Petersburgu przed grabieżą! Mniejsza o to co robi w Polsce, czy knuje coś, czy może jakieś szkody wyrządzić?... Podobał się pannie Kazi w Ermitażu. To wystarcza.

I dalej snuje się opowieść, jak przez całe życie, to nowe życie Polski Odrodzonej, nabrzmiałej Imieniem Józefa Piłsudskiego, ona, panna Kazia zdiera się w samotnej walce o cześć Marszałka. Zapewnia nas przytem z rozbrajającą naiwnością, „*że była to jedna z najsłabszych, zawsze ostrzeżliwanych jej pozycji*“ Biedactwo! To się tak mówi: utonąć z „reputacją pana Józefa“ w 30-to miljonowym narodzie, wrogim i plującym jadami!!!!

*

*

*

Mord Prezydenta Narutowicza o tyle uderzył pannę Kazię, że akurat obiecał jej, iż póki jest w ministerstwie, to jej się krzywda nie stanie — a pozatem tak się złożyło, że panna Kazia znalazła się przypadkowo w Zachęcie w tragicznym dniu i pomagała nawet ponoś podtrzymywać konającego. Dzięki temu, mamy jej długi list do redaktora *Gazety Polskiej*, w dziesięć lat po zamachu pisany. Główna rzecz: *dobroć*. I w Narutowiczu i w Piłsudskim widzi tylko *dobroć* — dobroć oczywiście skierowaną w jej stronę — i całą tą mętą tyradę o jednym z największych dramatów Polski Odrodzonej, kończy panna Kazia nabożnie:

— „Czy mam panu wyznać, panie Redaktorze, że modłę

się za zabitego i za zabójcę, jednym tchem, w jednym zdaniu, bez przecinka?...“ I z niewiarygodną dezinwolonturą zapewnia pana redaktora ponadto, że list ten może opublikować.

Co jak co, ale fach panny Kazi wskazywałby na pewną znajomość prawideł *przecinkowania* — dla niej jednak *nie ma przecinka* między tymi dwoma nazwiskami Prezydenta Narutowicza i nędznego mordercy Niewiadomskiego, strzelającego w plecy upatrzonej ofiary — nie zna przecinków panna Kazia, nie wie co to dystans — proporcja — nie orjentuje się w tych subtelnościach.

Za siebie samą, za siebie samą się modlić, panno Kaziu....

*

*

*

W roku 1925, raczy dostrzegać panna Kazia, że jednak coś w tym panu Józefie jest, bo ją najpierw utwierdziła w tem mniemaniu Grabosia famdeszambra i zdun, piec jej rychtujący — dalej jeden endeck w M. S. Zecie i w końcu p. Paweł Jurjewicz. Pan Paweł Jurjewicz powiedział jej nawet, że „*teraz to już się zaczyna*“...

My skromne jolopy sądziliśmy, że zaczęło się conajmniej o 20 lat wstecz, względnie od roku 1914 — w pannie Kazi zakielkowała nadzieja, że coś się zacznie... dopiero teraz, w roku 1925!!!! W 1925 roku, panna Kazia biedactwo, nie wie jeszcze nawet, że od lat pięciu Józef Pilsudski jest Pierwszym Marszałkiem Polski (dziwne że o tem jej nikt nie powiedział na terenie np. M. S. Zetu?!) bo oto kiedy dzwoni do niej pani Sujkowska i każe się stawić u Marszałka, pannie Kazi oczy stają w słup:

— *Pozostałam obojętnie tępą: znalazłam dwóch: marszałka Pułaskiego i marszałka Seydę, więc pytam: którego marszałka?*

Nawiasem mówiąc, dużobym dała, żeby zobaczyć jaką wtedy miała minę pani Sujkowska! ale idźmy dalej. Gdy jej

objaśniono, że nie chodzi ani o pana Pułaskiego, ani o pana Seydę i powiedziano, że to Marszałek Piłsudski będzie jej potrzebował i że rozkazał, aby każdej chwili była gotowa na wezwanie — odpowiada panna Kazia wyniośle:

— *Proszę pani, ja mały urzędnik, któremu świeżo obniżono pobory — jestem urzędnik, nie mogę w każdym czasie, tylko od 4-ej popoł. albo w święto i nie mogę np. za miastem (Marszałek przebywał w Sulejówku!) bo nie stać mnie na podróż...*

Zanotowawszy to powiedzenie, pachnące na miłą budującym merkantyлизmem, czyni uwagę panna Kazia pod adresem swoich siostrzenic, że to był dowód pewnej zmiany na lepsze w jej duszy, „*to omijanie norwej przygody. Jakże inna jest ta osoba, od głupiej ale przedsiębiorczej dziewczyny, piszącej swój ważny list z Londynu!!!!*” Uważa, że to jest zmiana na lepsze, iż na wezwanie człowieka, na skinienie którego pół Polski rzuciłoby się w przepaść, człowieka, któremu wszystko Polska zawdzięcza, panna Kazia liczy swoje pobory, ogląda się na swoją posadę, na giełdę... No iak. Józef Piłsudski wydawał się jej wtedy jeszcze za problematyczną pozycją.

*
* *

Pani Sujkowska mimo wszystko dała jej adres, gdzie ma się stawić i przykazała sekret.

— *Zachowałam go tak dobrze, że do dziś nie pamiętam zupełnie numeru domu, wiem tylko, że było to na Marszałkowskiej, u pana Cara....*

Że też ktoś, mający tak słabą pamięć nie posługuje się choćby... książką telefoniczną. Poprostu. W każdej znajdzie, że śp. Minister Car mieszkał we własnej kamienicy na Marszałkowskiej pod numerem 83....

*
* *

Dalej wpadamy coraz bardziej z osłupienia w osłupienie. Przychodzi panna Kazia ze siostrą swoją na ową Marszałkowską. W odśelaczu jest, że „*stół podwieczorkowy u Marszałka był zwykłym bufetem, jaki się przygotowuje na przyjęcie kilku osób, ale na przyjęciach nigdy nie bywałam, więc nie znalazłam tego typu zastawy....*”

Nawiasem mówiąc, ignorancja panny Kazi w wielu rzeczach głęboko nas zastanawia. Pozuje chyba rozmyślnie na osobę jakby wychowaną w lesie, Tarzan w zgrzebnej spódnicy! bo np. zwierza się, że pierwszy raz w swoim życiu ujrzała maszynę do pisania w M. S. Zecie. O ile wiemy, panna Kazia wychowywała się w domu hr. Platerowej — i chyba „*na pokojach*”, a nie w oficynie, a chociaż może Underwoodów tam nie spotykała, to przynajmniej coś trochę otrząsała się z typami zastaw przyjęciowych....

Teraz opowiada nam, że Marszałek ją zapytał, dlaczego nie była u Niego, gdy był Naczelnikiem Państwa, na co odparła, że miała dziurawe buty i łatany płaszcz, więc nie wypadało tak się pokazać Głowie Państwa.

1-o. Skoro ktoś zajmuje posadę sekretarki w takim urzędzie jak Min. spraw Zagranicznych — VIII kategoria urzędnicza! — to trudno sobie wyobrazić, aby nie miał całych butów i łatany płaszcz.

2-o. Zdaje się, że i tu zawodzi zajęcza pamięć pannę Kazię, gdyż przyjechawszy z Rosji..... zgłosiła się w pierwszym rzędzie do Naczelnika Państwa, w tychże zapewne dziurawych butach z prośbą o posadę — Marszałek jej nie przyjął, ale kazał powiedzieć, że kiedy coś będzie dla niej miał, da jej znać. Teraz na Marszałkowskiej skończyło się na tem, że Marszałek „*wytargał ją za uszy*” — pannę pod trzydziestkę!! i uprzejmie zaprosił o odwiedzenie Sulejówka. Lecz pannie Kazi niepokój szarpał serce w dalszym ciągu.

— *O co też właściwie chodzi? może o przekłady? może o coś takiego (słuchajcie!!!) czego ja, jako zaprzysiężony urzędnik wolalabym nie wiedzieć?! Pojechała wreszcie do Sulejówka, jak twierdzi „bez zapatu brnąć po śniegu do*

willi", gdzie Marszałek pisał „te drapieżne artykuły, których nie umiała przelknąć” dystyngowana panna Kazia.

Wspominając o pani Marszałkowej stale wyraża się: „smutna Pani Marszałkowa”. Dlaczego smutna?! Widywaliśmy ją niezliczoną ilość razy i zawsze swobodną, pogodną i uśmiechniętą, opromienioną tą wewnętrzną wesołością człowieka, który spełnia swój obowiązek, godnie i pracowicie, zrównoważony, otoczony miłością i szacunkiem.

*

*

*

Przestraszył zrazu pannę Kazię surowy niedostatek tego domu, ale nazajutrz, kiedy ją Marszałek podwoził samochodem do Warszawy pomyślała: jak „szykownie” jedzie!.... i —

— a jednak może im nie jest tak źle? Nie, nie mógł Marszałek zamyślać nic antyrządowego... i może rzeczywiście nie chciał nic odemnie ponadto, żebym do tego smutnego miejsca przyjeżdżała dla towarzystwa pani Aleksandry. A jeżeli mnie to nawet miałoby narazić u ludzi, to niechże raz naprawdę będzie za co.....

Dlatego jazda do Sulejówka miała być tym nareszcie rzetelnym powodem do narażenia siebie ludziom, nieobjaśniania nam bliżej panna Kazia, choć palpitujemy, aby się o tem dowiedzieć. Koniec końców — widocznie jednak przemógł strach przed narażeniem się, bo więcej do Sulejówka nie pojechała. Tłumaczy panna Kazia, że nie miała na bilet. Mój Ty Boże, jakże fatalnie nasze ministerstwa płacą swoich referendarzy, jeżeli ich nawet nie stać na 70 groszy na bilet kolejowy do Sulejówka, w dodatku minus zniżka kolejowa urzędnicza!!! Oburzający wyzysk!!!

*

*

*

Wypadki majowe przeszły nad uroczo zaondulowaną główką panny Kazi jak wszystkie nawałnicze zdarzenia,

odradzającej się Rzeczypospolitej — oi! strumyczkiem z kranu! Modliła się pobożna dusza za poległych, pisała do Pana Marszałka o natychmiastowe wypuszczenie jej szefa, bowiem „*ręczy za niego głową*“. I nagle, kazał jej Marszałek przyjść na Królewską, aby objąć sekretarjat w gabinecie Ministra Spr. Wojskowych. Panna Kazia nie byle co — stanęła dęba. Nie chce. Odda czas wolny Marszałkowi, może nawet dwie godziny, trzy, ale nie ponadto.

Poszła z tem na Królewską, w sukni, jak pisze, po kolana i z parucentymetrowymi rękawami (co za pamięć, co za pamięć!!!) U drzwi stał jakiś ulan — „*a może nie ulan? nieznam się na tem do dzisiaj!!!*“ Możliwe, że to był poprostu kominiarz, niemniej się nie możemy nadziwić, że osoba, która kilka dobrych lat pracowała w Min. Spr. Wojskowych nie rozróżnia ulana od kominiarza. Do dziś!! Policzyła na poczekaniu i zapamiętała, że było w poczekalni, sześć spluwaczek, które ją niezmiernie „*przygnębiły*“ i przekonały, iż „*świat jest zły*“. I teraz znowu zagłębiła się w rozterce duchowej:

— *I was kiedyś (powiada siostrzenicom) spotkać może kłopot wyboru między obowiązkami a heroizmem....* A żebyście kochani moi Czytelnicy dobrze pojęli sens tego westchnienia, pośpieszam dodać, że *obowiązkiem* wedle panny Kazi była płatna posada w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a *heroizmem*, służba z woli Marszałka. Gotowała się więc bohatersko na stoczenie walki, bo gdy jej Marszałek proponował filiżankę herbaty i kruche ciastka, (które zapamiętała z fenomenalną dokładnością) podziękowała panna Kazia.

— *Nie należy jeść przed bitwą*, — poucza srowo.

Zaczęła się bitwa. Marszałek nalegał, błagał, aby została sekretarką w Jego gabinecie ministerjalnym, że potrzebuje „*kogoś pogodnego, nowego, że tu same wojsko, ciężkie, oschłe obozowe życie!!!*....

Patrzcie państwo! a my, tępe jołopy, wierzyliśmy dotąd święcie, że Pan Marszałek był entuzjastą wojska, że kochał

nadewszystko obozową atmosferę!!! i nagle wynurzenie panny Kazi, że jej zadaniem miało być „tą ciężką, oschłą atmosferę wojskową“ antypatyczną, oczyścić i ozłocić osobistym urokiem pogody i nowości.

Panna Kazia broni się jednak zażarcie. Nienadarmo zrezygnowała z kruchych ciastek. Tłumaczy Marszałkowi opryskliwie, że powinien zrozumieć, iż M. S. Zet nie da sobie bez niej rady, „że już tam krążą i węszą po kurytarzach różne obce typy, że nie znają się na naszych sprawach, że potworzą fakty dokonane w mniejszościowej polityce, nim się kto spostrzeże...“ Tylko panna Kazia może się spostrzedz, zorjentować, przypilnować, obronić zagrożone pozycje mniejszościowe, ale Marszałek nic. Jak głaz. Ino nalega i nalega. 147397

Oburzamy się coraz więcej na to Ministerstwo Spraw Zagranicznych, które tak fatalnie traktowało urzędniczkę podobnej miary, tak niezbędną, tak niezastąpioną, a mimo to chodzącą w dziurawych butach i niemającą nawet 70 groszy na kolej. Pana Marszałka nic to nie obchodzi, żadne sprawy mniejszościowe i zagraniczne, wobec tej najważniejszej, aby panna Kazia przyszła i odwaliała proszalne do Niego listy.

Panna Kazia opiera się, proponuje swoją zasłużoną siostrę Basię (o ile wiemy, siostra jej pracowała w Belwederze!) Lecz Marszałek upiera się. Nikt na świecie nie potrafi „reprezentować, obcować z Jego dziećmi i załatwiać Jego gości“. Pani Basia, ani mowy, aby się do tego nadawała.

Do czego w odwalaniu proszalnych listów była potrzebna „reprezentacyjność“ nie objaśniają wszechstronne skądinąd odsełacze panny Kazi. Panna Kazia wytacza tymczasem jeszcze jedną armatę:

— Panie Marszałku! Jestem dziś... mierząca, bardzo mierząca i do kościoła chodzę i do spowiedzi. Wiadomo — wedle endeków Marszałek był mason, więc ten argument powinien Go być dobić, ale On kuśli dalej: a chodź sobie gdzie chcesz!

M. S.
im.
L. W.

Łódź

— *Dam tobie dużo pieniędzy, dam mieszkanie, wynagrodzę uważasz dobrze. Zażądaj od Becka, mego tutaj szefa gabinetu, ile tam będziesz potrzebowała na obsprawnienie... Ja wiem ilu ty miałaś wrogów w M. S. Zecie. To ty mnie powiedz tylko kto ci dokuczał, a ja ich uważasz przepędzę...*" Kuszenie św. Antoniego Pustelnika to zaiste dziecinna igraszka wobec tego co tu czytamy!

Panna Kazia gorącuje się. Zmarnowane kruche ciastka nie schodzą jej z pamięci. Zawsze sobie radziła z wrogami, nie potrzebuje niczyjej pomocy, ale proponowanej robocie nie poradzi, nie potrafi, nie uczyła się, wogóle przedewszystkiem „nie lubi wojska, feldfeblowskiej psychiki — jest cywilem z fachu i przekonania...”

Teraz Marszałek się rozgniewał i zagroził:

— *Jak tam sobie chcesz, ale jak ty do mnie nie przyjdiesz, to ciebie i tak z twojego M. S. Zetu każę wyrzucić. Ty nie myśl, że tam zostaniesz! Potem będziesz się tutaj prosiła, nawet na pomocnicę sekretarza, a ja ciebie nie wezmę!!!!*

Pannę Kazię nie tak łatwo zbić z tropu. Djabli ją biorą. Broni wyniosłe z wszystkich flanków swojej placówki: ona się nie może kompromitować, ona nie chce „wygrywać na przewrocie majowym! Co o niej koledzy pomyślą!?” Zresztą niech jej pan Marszałek da trzy dni do namysłu, bo musi spytać onych kolegów o zdanie (sic). Pozatem zachowanie, nietylko pana Marszałka ale i zachowanie szefa Jego gabinetu pułkownika Becka, przedstawiło się oplakanie wedle wynurzeń panny Kazi.

— *Raportował coś pułk. Beck, czego, jak czułam, tresowana w M. S. Zecie, nie powinnam była wysłuchiwać....*

Do pioruna! któżby pomyślał, że nasz ostrożny, wyrafinowanie dyskretny obecny minister Beck, był tak niewyrobiony służbowo i lekkomyślny. Zdradzać tajemnice wojskowe w obecności nieznanej mu panny Kazi! Skandal! bo przecież nie o ciastkach chyba kruchych, czy pogodzie mel-dował Marszałkowi?!

Dumnie wyszła z gabinetu Marszałka panna Kazia, pocuczając swoje siostrzenice na marginesie, że gdyby była zachowała się inaczej, mniej opornie, słowem gdyby była zjadła te ciastka kruche, popiła je herbatą, ergo przegrała bitwę z Marszałkiem, możnaby ją poczytać „za safandulę”. I teraz zaczęła chodzić po całym ministerstwie, z biura do biura, z piętra na piętro, z ubikacji do ubikacji, od kolegi do kolegi, od szefa do szefa i pytać: *jak sądzą?* możeż ona przyjąć posadę sekretarki w Min. Spraw Wojskowych, jak chce Marszałek?! W trzy minuty całe Ministerstwo już wiedziało, aż do ostatniego windziarza, że panna Kazia jest wybraną z pośród tysiąca. Trjumpf niepowszedni, a pozatem przygotowanie sobie trampoliny do gładkiego przejścia od szymfowania na wypadki majowe, do służby u Tego, który wypadki majowe zwycięsko rozegrał. Odpowiedzi były ku zdziwieniu panny Kazi jednomyślne. Oczywiście przyjąć! Ale dopiero biurokratyczną jej naturę zmógł jeden kolega, tymi samymi co ona myślący kategorjami, bo stanął na baczność i huknął:

— *Pani jest referendarzem — urzędnikiem ósmej kategorii — a Pan Marszałek jest Ministrem Wojny. Stoi pani wobec Ministra!!!!*

Na dobitkę p. Tadeusz Romer, „*jeden z najnabożniejszych ludzi, rzekł: gdyby mnie to zaproponowano, jużbym tam był....*”

Ja myślę!!!!!!

Skromnie kończy opowiadanie o stoczonej walecznie bitwie panna Kazia cierpką uwagą, że wydział personalny M. S. Zetu wpadł w trans zachwytu, gdy się dowiedział, że ona ich progę opuszcza. Przy tym ustępie przypomina mi się jedno zdarzenie. Szukałam mieszkania — gdzieś na Wspólnej czy Mokotowskiej (mam gorszą pamięć od panny Kazi). Trafilo mi się coś bardzo przyjemnego, dobrze umeblo-

wanego. Dobijam z gospodynią umowy, nagle pyta mnie ona: a jaki pani zawód? Odpowiadam: *literatka*. Jak nie skoczy z kanapy pani gospodyni:

— Paniusiu kochana, proszę się nie gniewać, wolę djabła jak literatkę.

Urażona nieco pytam skąd ten wstręt do literatek?

— Moja pani! mieszkała u mnie jedna literatka, panna Hlakowiczówna — niech panbuk broni. Gospodarz niegospodarz, sąsiad nie sąsiad, dozorca niedozorca, wszystko było jej nie w ład....

Nie wiem czy mówiła prawdę, ale od umowy się cofnęła.

*
* *

Zgodziła się panna Kazia przyjąć posadę w Min. Spraw Wojskowych, lecz lament nie ustaje. Przecież niewypadało po przybywaniu w domach wybitnie endeckich, po jej zachowywaniu się, wybitnie opozycyjnym, przed definitywnym zwycięstwem Piłsudskiego, nagle znaleźć się bez męczeńskich „och!” i „ach” w biurze... Zwycięzcy! Jęczy zatem:

— *Stracę zapewne tych nielicznych przyjaciół — nigdzie się już nie będę mogła pokazać...*

Trędowata! Jednym słowem trędowatsza od Trędowatej. Z sercem rozdartem „*zrezygnowana już, poszłam kupić perkalu na suknię, z długimi rękawami i pod szyję, granatowego m białe groszki*“. Kładła szczególny nacisk na długość sukni, „*aby mogła m niej figurować przy wojsku*“. Krawcowej się to nie podobało. Wojsko wojskiem „*ale ona nie może sobie psuć przez pannę Kazię reputacji*“!!!! Suknia musi być krótka. Nie pozostało nic innego pannie Kazi, skromnej dziewczeczce, jak zażądać dla przykrycia kolan — (o zakład, że nie zgadniecie!!)... „*prawdziwego, dużego biurka szafkowego!*“

W M. S. Zecie miała zawsze tylko stolik i gołę, niczem

nieprzykryte kolana, ale „feldfeblowska psychika“, środowisko wojaków, gwałcicieli i krwio pijców, to co innego. Biurko musi być szafkowe, „bo cienkie nogi zwyczajnego biurka nie przykryłyby jej nóg!!!!!!“ (sic).

Znowu jesteśmy zgorszeni zachowaniem pułkownika Becka. Takie sknerstwo! Przecież Pan Marszałek kazał dać pannie Kazi, ile tylko będzie potrzebowała „na obsprawienie się“, a pułk. Beck wyasygnował jej zaledwie na przykrótką sukieneczynę z perkalu i nie pomyślał o zabezpieczeniu jej obyczajności przed nieulegającym wątpliwości atakiem panów oficerów. Może z rozmysłu nie kazał dać szafkowego biurka? Kto wie? To też był przecież oficer....

Panna Kazia jednak jest cwana. Nie dostała biurka. Dobrze. Wdziąła więc pudermantel, sięgający do ziemi i tak wystrychnęła na dudka wszystkich umundurowanych bezecników, którzy tylko na jej gołe kolanka czyhali.

Przypomina mi się śliczny żywocik św. Agnieszki. Przywodzą ją przed starostę rzymskiego i kuszą widokiem tańców, pięknych rzymskich oficerów, a panienska nieczuła na to: *odstap odemnie pobudko grzechu, podnieto nieczystości, potrawo śmierci wiecznej! a gdy gniewny na jej nieużytość starosta, rozebrać ją rozkazał do nagości, panience świętej włosy jęły rósć od czoła aż do ziemi i pokryły ją całą. — Taką to tkaniną uratował ją Oblubieniec niebieski przed sprośnością żołdactwa.....*

Summa summarum wyszła panna Kazia z Ministerstwa Spr. Wojskowych jak ta św. Agnieszka, jak starozakonny młodzieńczyk Daniel z złowrogiej pieczary, nietknięta!! Wszystko zawdzięczała swej przezorności roztropnej i pudermantlowi, w dodatku Grabosia oświadczyła, że jednym z najmądrszych uczynków pana Marszałka Piłsudskiego było to zaangażowanie panny Kazi.

— *Zawsze mówiłam, że pan Marszałek ma rozum, o ma!!*

*

*



Lecz wróćmy się nieco wstecz.

Pierwszą czynnością panny Kazi było pójść do pułk. Becka, aby mu postawić swoje warunki i zażądać obiecanej zaliczki na wyekwipowanie. Na jego biurku zauważyła „*długi jak go zakwalifikowałam Mauser, który wyglądał niebezpiecznie i musiał być nabity*“. Słusznie. Żaden szef gabinetu nie trzyma nienabitego karabinu na biurku. Żądania panny Kazi nie były wybitnie skromne. Ma otrzymać: *formalną nominację*, (na papierze, zapewne dla potomności) *zaliczkę na mykwirowanie się*, *gwarancję*, że będzie mogła *każdej chwili wrócić do M. S. Zetu i to gwarancji samego ministra*, oraz *ischer ist sicher „personalnych czynników“*, bo minister mógł wylecieć którego dnia i z gwarancji byłyby nici. Bardzo praktyczna jest, jak widzimy, panna Kazia. Poucza też o cnocie praktyczności swoje siostrzenice:

— *Urodziłyście się w kraju, gdzie rzeczy materialne uchodzą za nieco wstydlive. Wszyscy chcą uchodzić za wielkodusznych i bezinteresownych, poczem wynika z tego okropny rmetes, przy którym dopiero wylażą na wierzch wszystkie najgorsze strony ludzkich charakterów.* Panna Kazia ani na chwilę się nie wstydzi. Nie jest wielkoduszna, ani bezinteresowna i z dumą przyznaje się do tego. Nie chce zresztą, by z „*ludzi mychodziły najgorsze strony charakteru*“. Ochroniła od tego także pułk. Becka i sama opancerzyła się, zaopatrzyła, zagwarantowała i — gdzie? U wrót tego gabinetu w Polsce najważniejszego, do którego na kolanach byliby ludzie wchodzili, gdyby ich powołano.

*
* *

Objęła więc służbę w M. S. Wojsk., choć „*była zrażona brakiem owacji*“ ze strony adjutanta Remigjusza Grocholskiego. Wogóle kobietom jest bardzo źle, powiada. Wszystko czyha na ich cnotę, na ich kolana, na ich honorność. Albo uznają je podli koledzy za „*mądrzące się baby*“ gdy są twar-

de, albo gdy są uprzejme, *trafia je zarzut, że chcą otoczenie przekupić swoją kobiecością*". Słowem nie kijem to pałką.

Niemasz nieszczęśliwszej istoty na ziemi, jak kobieta pracująca! A przecież zdawałoby się, że tak łatwe ma środki pomocnicze pudermantle, biurka szafkowe itd. Wszystko dziwiło pannę Kazię w tym okropnym Ministerstwie Wojskowych Spraw. Czortowskie sprawy! „*Co to znaczy odprawa*“ naprzykład. Każdy rozsądny człowiek, a więc i panna Kazia sądziłby, że to znaczy „*odprawić kogoś*“ — a tymczasem to jest zgoła co innego. Zaraz pierwszego dnia przynieśli jej dwa kosze listów. Te listy miała segregować, otwierać, czytać i ewentualnie odpisywać, względnie odselać do poszczególnych departamentów i urzędów. Przez kilka lat załatwiał to zacny porucznik Miś Galiński, ale że był raczej żołnierzem i raczej machał szablą, niż piórem, więc jego odpowiedzi niezupełnie wymaganiom odpowiadały pod kątem literatury — pozatem był wesół, dziarski i trochę roztrzepany, gubił dołączane do korespondencji metryki i świadectwa — teraz kiedy nawał listów się wzmógł, trzeba było pomyśleć o innym sekretarzu. Przypomniano Panu Marszałkowi pannę Kazię, która Go kiedyś o posadę obligowała: jest literatką, więc przypuszczalnie nie będzie byków sadziła i będzie może jako kobieta dokładniejsza, nie będzie gubiła załączników. Zresztą główną i najważniejszą część korespondencji, adresowanej do Pana Marszałka i do Gisz, załatwiała z rozkazu pana pułk. Prystora sprawnie, cicho i fachowo panna Gertzówna. Panna Kazia weźmie łatwiejszy dział, odpowie komu potrzeba *tak* lub *nie*, niektóre podania skieruje do odpowiednich urzędów i departamentów i koniec. Prochu nie potrzebuje wynajdywać. Robota jak widzimy nie na miarę fidjaszową, ot zwyczajne mechaniczne odwalanie „*proszalnej*“ bibuły. Ale panna Kazia niemoże znieść myśli, że ją użyto do tak zwyczajnych zadań. W swoich wspomnieniach stara się jaknajbardziej wyolbrzymić te zadania, wysublimować — mimo że zrazu przyznaje się, iż pan Pry-

stor kazał się jej radzić zacnego porucznika Galińskiego, że wogóle wszyscy się dziwili z czego panna Kazia robi taki rwetes. Jednak praca jej w Ministerstwie, rośnie w jej opowiadaniu do wyżyn niebotycznych — całe Ministerstwo chodzi od jej pytań, interpelacji, żądań.

I gdyby poprzestała na tych wynurzeniach i samochwalstwach — Bóg z nią! ale ona zaczyna cytować słowa Marszałka Piłsudskiego, cytuje rozmowy z Nim w cztery oczy, rozmowy które napełnione poetycką fantazją księżycowej panna Kazia bezświadomie może nawet, przeinaczyła.

Naprzykład — rok 1926. Wiemy wszyscy, jak Marszałek przeżył dogłębnie i tragicznie konieczność *wypadków majowych*. Wiemy z jaką powagą i kapłańskim namaszczeniem traktował te złe i smutne sprawy. — U panny Kazi... dowcip! Pan Marszałek pije herbatę w jakichś okropnych półlitrowych filiżankach:

— *Widzisz*, — mówi do panny Kazi, — *nie tylko że przepędziłem ministra spraw wojskowych i wsadziłem go do więzienia, ale jeszcze mieszkam w jego mieszkaniu i jem na jego serwisie! Dobrze? Co?!*

A panna Kazia wpada w ton pana Marszałka i robi minkę figlarną i dowcip, zresztą udany: „*czy warto było przepędzać ministra, aby pić z tak okropnych filiżanek?!*” Tak to żartobliwie i lekko zbywał Marszałek wielkie zdarzenia Swego Państwa, wedle relacji panny Kazi!

*

* *

Rośnie niezbędność i ważność panny Kazi. Już pan Marszałek pozwala jej urzędować przy Swoim własnym biurku nawet, gdy jest nieobecny. Panna Kazia rządzi się, dysponuje, wyrzuca spluwaczki, ustawia kwiaty. Wreszcie pewnego dnia otrzymuje od Pana Marszałka wiadomość, że będzie u Niego Pan Prezydent z pierwszą wizytą i że panna Kazia ma podać herbatę i wyjść do gości.

— *A pani Marszałkowa?* — pyta zaskoczona panna Kazia.

— *Jaż ci mówię, że ty masz przyjąć pana Prezydenta.*

Jedzie więc panna Kazia z por. Vacqueretem kupować ciastka i owoce. Wszystko ją gniewa. Niewinny piesek w samochodzie to „odrażające zwierzę, które pierwnie wszystko oślini“, mierzi ją ordynans, pocziwy, wesoly, niefrasobliwy chłopak. Pan Marszałek zaś tylko się trapi tem, żeby ich wszystkich razem z panną Kazią dobrze sfilmowano i żeby panna Kazia dobrze wypadła na zdjęciu. Zasłaniając zaplonioną twarz rączkami, oponuje panna Kazia. Pan Marszałek nie zna się na formach, ona nie może się fotografować z nimi razem, bo „przecież ci panowie, którzy mają przyjść, są wyżsi od niej rangą!“

Bystro rozumowała panna Kazia, bo istotnie trochę wyższą rangą od niej był Prezydent Rzeczypospolitej, premier Bartel ect. niemówiąc już o Pierwszym Marszałku Polski... I — znowu zadziwiająca pamięć. O sukni.

— *Miałam ją z granatowego krepdeszynu. Była przero-biona, dziurawe miejsca podklejono małymi łatkami, które nieraz odklejały się nie w porę. Myśl, że odkleją się przy herbacie, albo w obliczu aparatu filmowego, zatrzymała całą moją podświadomość....*

Na marginesie poucza siostrzeniczki, aby je gruntownie i wszechstronnie wykształcić, że „istnieje specjalna technika w wyższym kunszcie krawieckim, przy pomocy której, bardzo lekkie i eleganckie suknie, o ile są uszkodzone, regeneruje się przy pomocy odrobiny kleju“. (!!)

O panie pułkowniku Becku! ileżeś dał zaliczki pannie Kazi na obsprawienie się, skoro dalej w latach chodzi biedactwo i cerach, pozaklejana jak lufcik w czasie próbnego ataku gazowego?! Nie wstyd takie sknerstwo?!

*

* *

Właśnie minął huragan wypadków majowych, właśnie ten burzliwie obrany Prezydent Mościcki ma przyjść poraz

pierwszy do Marszałka Piłsudskiego — poraz pierwszy nowy premier nowych rządów — godzina ważna, doniosła, decydująca, na co miała patrzeć panna Kazia — na co *miała mieć szczęście* patrzeć panna Kazia, a ona o tej regenerowanej sukni krepdeszynowej i o łatkach, które wyższy kunszt krawiecki nalepia! Zresztą jak twierdzi, nikt nie zwracał uwagi na bieg historycznych zdarzeń — wszyscy kto żyw: Beck, Wieniawa-Długoszowski, Ulrych, Prystor, Nałęcz-Korzeniowski, Grocholski, zezowali tylko i wyłącznie ku aparatowi filmowemu, tłocząc się jeden na drugiego, „*dbając słusznie o to, żeby się zmieścić w oku filmowym, które inaczej by ich nie objęło...*”

Ale swój rozumek panna Kazia ma i umie torować sobie drogę, gdy zdarzy się okazja. Oto kiedy ją pyta Marszałek żartobliwie, przy dostojnym gościu:

— *A jeźlibym cię skrzywdził, do kogo możesz pójść ze skarga?* Nie było zgody między mną a Panem Marszałkiem, Pan Marszałek chciał żebym odpowiedziała: tylko *do Pana Boga w niebie*, ja zaś odpowiedziałam:

— *Do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej.*

Nie można bardziej się w kropce znaleźć i zręczniejsz schlebić Panu Prezydentowi. Przypomina się francuska anegdota o wodziarzu, który wodę sprzedaje podczas oblężenia miasta. Niesie dwa wiadra i krzyczy:

— *Wiadro wody po 6 groszy! wiadro wody po 6 groszy!*

Nagle pada granat i rozrywa mu jedno wiadro, a wodziarz jakby nigdy nic:

— *Wiadro wody po 12 groszy! wiadro wody po 12 groszy!*

To się nazywa orjentowanie się w sytuacji.

Mimo wszystko na tej herbacie nie znalazł Pan Marszałek uznania w oczach panny Kazi. Uważa, że nie było odpowiednio z Jego strony, konfundowanie jej w obecności kolegów, pozatem była niespokojna „*bo czułam, że wszystkie łatki za chwilę się odkleją przy sukni i opuszczą mnie jak listki drzewo. Wiedziałam ponadto, że wychodzę na filmie pod najgorszym kątem, a w historii Polski (słuchajcie! słu-*

chajcie!) która się odwija jednocześnie, w najśmieszniejszym świetle....!! Tak! dwa grzyby w barszcz to stanowczo za dużo jak na wątłe siły panny Kazi. I łatki się odwijały i historia Polski się odwijała — z drażniącą wręcz jednoczesnością. Nie wytrzymała. Wyszła. Pan Marszałek poszedł za nią i spytał dlaczego nie podaje herbaty? Nie chce. „Marszałek wtedy machnął ręką, a ona podglądała ze strachem (oczywiście przez dziurkę od klucza, bo jakże inaczej?) czy goście nie są na nią poobrażeni“. Całe szczęście, że nie mieli czasu, bo Pan Marszałek zaprosił Pana Prezydenta i premiera Bartła do swego gabinetu na poufną rozmowę. Inaczej byłiby zapewne niepokieszeni.

*
* *

Rozdział 22 zaczyna panna Kazia od słów: „*trudno pochwytać pamięcią te wątlutkie i blahe wąteczki....*“ Nam się zawsze zdawało, skromnym jolopom, że ten okres 1926 roku, to same wiekopomne i wstrząsające zdarzenia, że to najintensywniejszy wysilek Marszałka Piłsudskiego, aby zdusiwszy korupcję, tworzyć nowe podstawy bytowania państwowego—panna Kazia jednak wzrusza ramionami: „*wątlutkie to były i blahe wąteczki....*“ oczywiście prócz momentów o wysokim napięciu, jak odklejanie się latek z krepdeszynowej sukni i kwestji, czy się dobrze wypadło w małowniczey grupie na ekranie. Zresztą wiekopomnych dzieł dokonała panna Kazia w międzyczasie.

Ona to zawiesiła obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej nad łóżkiem Marszałka, wahając się, czy nie należało uprzywilejować Częstochowskiej „*która jest królową Polski*“, a tamta nie — ona zainicjowała sprowadzenie zwłok Słowackiego do kraju wytłumaczyła tę konieczność pulk. Beckowi — ona wreszcie nadała rozmachu „*proszalnym*“ listom. Zasypywała pana Marszałka pytaniami, jak odpowiadać na korespondencję: „*z polecenia Pana Marszałka, czy na życze-*

nie Pana Marszałka?" — moja Pani! czy kochana Pani? czy Panie Szanowny? — Mamy wrażenie, że Pan Marszałek musiał nagle zatęsknić do cichej nieliterackiej roboty porucznika Galińskiego....

W związku z korespondencją *proszalną* spełniano grzecznie jej życzenia w Ministerstwie Spr. Zagranicznych, choć powiada, „*nie wierzyłam im, oprócz ministrowi Zaleskiemu — wszyscy ją zresztą teraz na mieście zaufażyli, witali się, kłaniali, nawet na ulicy* (pomyślcie! nawet na ulicy!) „*Kuliła się*” zrazu biedactwo przy spotkaniach, „*sądząc, że lada chmila spotka ją awania*” — przecież mówiła nam już, jakim aktem heroizmu i wyrzeczenia się wszelkich osobistych stosunków towarzyskich, było przyjęcie posady sekretarki w ministerstwie spr. wojskowych — a tu patrzcie państwo! wręcz przeciwnie! Wszyscy od 1914 r., bezceścili Pana Marszałka, który tylko ją jedną jedyną, w całej Rzeczypospolitej, miał jako puklerz i obronę — a tu nagle witania, owacje, schlebianie. Z goryczą notuje panna Kazia:

— *Moja postanowiona naprzód ofiara, w rzeczywistości nie stała się nigdy potrzebna, przeciwnie, ze strony osób, u których ze smutkiem przywykłam była stwierdzać oschłą, napół grzeczną obojętność dla mnie, nagle ożywiły się najlepszymi uczuciami...*

Słowem jedyny cel życia panny Kazi, bronienie Osoby Marszałka Pilsudskiego, urwał się w 1927. Już nawet jeden działacz opozycyjny zgłasza się do niej, aby umożliwiła widzenie się z Marszałkiem jemu i kilkunastu posłom „*którzy pragnęli, by Marszałek zorganizował z nich twórczą opozycję, tak jak zorganizował obóz rządowy...*” Istotnie, z takim projektem ów wybitny działacz opozycyjny mógł przyjść tylko do panny Kazi: wyobraźmy sobie gdyby złe moce nie były pannie Kazi przeszkodziły, co za nadzwyczajne rzeczy bylibyśmy przeżyli! Pana Marszałka, działającego na dwie strony: z jednej rząd, BBWR., z drugiej zorganizowany przez Niego zwarty blok Cekawistów, Endeków, Bund, Cha-

deki, twórczo, w myśl tęsknot tego osobliwego działacza opozycyjnego.

No, ale widocznie nie udało się pannie Kazi. W każdym razie daje do zrozumienia, że na polityce się zna.

*
* *

Poczuła się tak zlaną, scaloną z Szefem swoim — bo dla niej Pan Marszałek to zawsze *Szef*, że kiedy ktoś w towarzystwie obraził w jej obecności *jej Szefa*, uraziło ją to. Sztorcując się zrazu, zgodziła się w końcu, że ten pan ją przeprosi, ją personalnie, bez wyrażania żalu za słowa rzucone w stronę Marszałka. Z okazji tej omal nie straciła przyjacielnego domu.

— *Prawda jakie to okropne, być zmuszonym wybrać pomiędzy przywiązaniem dla przyjaciół, a wiernością dla szefa...?!?! Uważacie? Znowu dla Szefa. Co za świetny urzędnik z panny Kazi! A jeżeli chodzi o przyjaciół, to zaiste szczególnych sobie dobierała ta wierna służbistka, bo co rusz to jakiś ćwiok w jej otoczeniu, który wymyśla Panu Marszałkowi od „bandytów i złodzieji“. Zresztą, gdy za moich czasów w Poznańskim przybywała, to stałe w domach, które — wówczas przynajmniej — znane były jako najzacieklejsza opozycja przeciw Marszałkowi Piłsudskiemu, niepozostawiająca na Nim suchej nitki. Chyba tam nieraz jeden musiała pięknych rzeczy o Nim się nasłuchać, ale jakoś nie psuło to wywcześnie pannie Kazi....*

*
* *

W biurze wszyscy się wciąż dziwią poco ją zaangażowano? Ostatecznie porucznik Miś Galiński odwał też te listy prośbne, jakoś wesoło, niehałaśliwie i gładko, chociaż stylem literackim nie grzeszył — a ta, mimo swego pisarskiego

fachu, nie może sobie dać rady! Obdzwania wszystkich pułkowników — atakuje wszystkich majorów o pomoc i wskazówki, a choć ci łagodzą jej wybuchy wersalskimi komplementami: *poco ma pani swoją śliczną główkę tem zaprzętać* — ona zaprzętuje sobie nie tylko śliczną główkę, ale, powtarzam, zaprzętuje cały personel Ministerstwa Spraw Wojskowych, od najwyższego szefa Gabinetu, aż po ostatniego woźnego. Kręcka ludzie dostawali. Ona chciała, aby wiadano, co ona cierpi z heroizmu i wierności dla Szefa, jak zawrotnie żmudną i odpowiedzialną jest jej praca. Ona poucza nawet Pana Marszałka, co jest odpowiednie a co nie, co jest oszustwem, a co nie. Szkoda tylko, że ani w ząb nie pamięta *opowiadań Pana Marszałka*. Łatki przy sukni, pudermantel, owszem, ale *opowiadań Pana Marszałka* ani rusz. Zapomniała biedactwo.

*

*

*

Dufność jej rosła. Zażądała pewnego dnia od Pana Marszałka, aby miała do dyspozycji samochód gabinetu Ministra Spraw Wojskowych. *Excusez du peu!* ale Marszałek odmówił, z czego powiada: „*byłam niekontenta*“. Zachciało się jej koniecznie nosić tytuł „*sekretarza Józefa Piłsudskiego*“, lecz Pan Marszałek pozostał „*nieprzejednany*“ — musiała się kontentować sekretariatem przy gabinecie Ministra Spraw Wojskowych, a wszelkie inne podsuwane Mu chytrze nomenklatury Pan Marszałek przekreślał.

Przeniesiona na jakie dwa tygodnie do Belwederu, myślała się tu zainstalować na dobre — planowała nawet zajęcie pokoju adjutaniury ponoś. „*Kłóciła się o krzesło, o gródź*“, nagle trach! przeniesienie do gmachu Ministerstwa na Nowowiejską. Nie przestaje nam insynuować, nam i swoim siostrzenicom, jak niesłychanie trudną, odpowiedzialną, zadreńczającą była jej praca — ale czasami z niekonsekwencją sobie właściwą, panna Kazia puszcza jednak farbę. Nie jest

znowuż tak trudna i ciężka ta praca, pisze oto bowiem na str. 255:

— *Spodziemałam się, że nareszcie nastąpi to, (w gmachu Ministerstwa) co nazywałam w duchu prawdziwą pracą z Marszałkiem (panna Kazia jak widzimy nigdy o sobie nie wątpi!!!!) Może mi będzie dyktował, może coś razem mystylizujemy (!?) może moje 4 języki obce i pewne zdolności literackie, nareszcie się do czegoś przydadzą poważnego — nietylko do łatwych, krótkich listów sekretarjackich....*

A więc łatwe i krótkie!... Umie panna Kazia myśleć od czasu do czasu niehyperbolicznie i nieapokaliptycznie, jeno zwyczajnymi kategorjami, ale to zjawisko u niej rzadkie. Wystąpiło pewnego dnia, dzięki otrzymanemu rozkazowi, że dziś ma pozostać w biurze po godzinach urzędowych. Panna Kazia płonie żywym ogniem. Jest pełna błogich marzeń, jak to do świtu będzie wystylizowywała z Panem Marszałkiem płomienne odezwy i manifesty. Lecz godziny jakoś mijaly i jakoś nie. Nie przywołał jej wcale Pan Marszałek, tyle tylko, że prosił ją parę razy, aby Mu podała herbaty, gdy odbywał jedną konferencję za drugą. Panna Kazia wybiła już sobie z głowy „współpracę“. Główkę jej zaprzatnęła teraz kwestja, jak się dostać po nocy z Nowowiejskiej na Bracką do domu? Niby wydawałoby się, że niema nad czem długo się zastanawiać. Ministerstwo jest na rogu placu Zbawiciela, gdzie co rusz to taksówka. Weźmiesz więc markizo taksówkę i za jednego złotego jesteś w domu. Ale księżycowa, irrealna panna Kazia poetyzuje:

— *Wisiała czarna, zimowa, mokra noc, a mój strach przed pustymi ulicami Warszawy, na których dopiero zaczęły pojawiać się taksówki(?)! był raczej usprawiedliwiony... I panna Kazia, doprowadzona do mistycznego lęku, żąda kategorycznie od adjutanta, aby jej przydzielił woźnego czy żandarma do odprowadzenia do domu. Zapomniała że nie-róż wrócala chyba z teatru bez żandarma—że z Oazy naprzykład, czy innego Qui pro quo — bo widywali ludzie pannę*

Kazię w Oazie. Ale nieużyty adjutant odmówił. Służbowo jest to niemożliwe.

— *Obrażona wróciłam do swego biurka i utknęłam nos w robocie....*

I już nie ją nie bolało, ani rozwiane marzenie o „współpracy” z Panem Marszałkiem, zakończone marnem podaniem herbaty — tylko ta czarna noc i ten nieużyty adjutant, który jej odmówił żandarma. Trzeba się będzie „rzucić w tą noc jak w czarną wodę”. Ale wobec jej żałobnej miny, Pan Marszałek podwiózł laskawie pannę Kazię do domu.

— *Rzucalam druzgocące spojrzenia w stronę adjutanta (który nb. i tak tego nie widział, bo siedział do niej w samochodzie tyłem) i — zadowolona w pysze i próżności swojej „zasnęła tego dnia szczęśliwa jak król....”* Glupstwo chybiła „współpraca”, glupstwo zawiedzione wysokopienne nadzieje, grunt zaimponowanie adjutantowi. Flattau było mu na imię.

Ten strach przed urojonemi niebezpieczeństwami, ta manja prześladowcza zaczyna się ujawniać raz po raz. Pisze np. że w Min. Spr. Wojsk. spodziewała się ciągle gwałtownej śmierci, do której starała się „być stale przygotowaną”.

— *Miałam zawsze w pokoju krucyfiks. Ostrożność nie zawadzi.....*

*

* *

Teraz zaczęła panna Kazia masakrować pana Prystora pytaniami — nieszczęśni adjutanci mogli odetchnąć. Mierzili ją niektórzy — złościł ją „ogromny pulkownik z uciętą nogą” — typ „któremu nie należy zanadto ustępować, bo się wtedy robi niemożliwy....” Tak się wyraża panna Kazia o oficerze, który, on jeden, wyszedł, straszliwie zresztą okaleczony, z najniepotrzebniejszej i zarazem najświetniejszej kawaleryjskiej szarży pod Rokitną... Także tu brak przecin-

ka u panny Kazi i byłoby żądać zbyt wiele od jej mentalności, gdybyśmy żądali zachowania dystansu....

— *Jakże dalekie były czasy ul. Królewskiej!* — wzdycha — *jak niespostrzeżenie rozwiała się fata morgana bliskiej współpracy z Marszałkiem, przy nim, obok niego, obcowania z jego dziećmi, zrośnięcie się z jego domem — miejscem ogrodzonym, bezpiecznym, nie zdeptanym tysiącami butów.....!*

Nie sądzę, aby gmach Ministerstwa Spraw Wojskowych był mniej ogrodzony i bezpieczny, niż np. dworek Marszałka w Sulejówku, ale nie sprzecajmy się o takie drobiazgi z panną Kazią, bo oto zaczyna marzyć o czymś donioślejszym. Ni mniej ni więcej, tylko o książce o Marszałku, ni mniej ni więcej tylko o *żwierciadle Jego życia!!!!* To wyznanie przygwoździło nas i zatkało oddech — przeszło wszystko, czegośmy się mogli po pannie Kazi obawiać.

Oprzytomniawszy, czytamy dalej, losom przychylnym dziękując, że dobroczynny wiatr jakiś wywiał z poetyckiej główki panny Kazi ten plan....

*

* *

Księżycowa panna Kazia wyznaje, że pracując w Min. Spr. Wojsk. zobaczyła portret jakiegoś generała. Był to Rydz Śmigły. Ale... nie wiedziała kto to jest Śmigły. W 1928-29 roku!!! już kiedy za nim był Łowczówek, Nida, Tarłów, Ułina, tworzenie POW. — Lida, Wilno, Dynaburg, Żytomierz, Kijów — „grupa uderzeniowa“ — 2-ga Armia — Krwawy Bór — ona nic nie wie kto jest Rydz Śmigły i jak wygląda!!! Urzędniczka Min. Spr. Wojskowych!

— To nietylko lekceważenie, to wyraźna obojętność na wszystko co polskie....

*

* *

Tymczasem pewnego dnia, do oddalonego — coraz bardziej oddalanego! biura panny Kazi, zadzwonił Pan Marszałek. Chodziło o przepisanie wywiadu dla prasy.

— *Nareszcie prawdziwa współpraca!!!* wykrzykuje panna Kazia, pękając z dumy. Niebardzo się orjentujemy dlaczego panna Kazia nazwała to „współpracą“. Bo jako żywo nigdyśmy nie słyszeli, aby przepisanie bruljonu na czysto, na maszynie, nazywało się „współpracą z autorem“. Są przecież zwyczajne „biura przepisywania“, biorące po 14 groszy od arkusza (to do odśladaczy panny Kazi uwaga) a nikt z autorów nie nazywa tych przepisywaczy kolegami i współpracownikami.....

Przypomina mi się opowiadanie dr. Julji Świtalskiej z czasów legjonowych, gdy pytała puciołowatego, rozpromienionego, blondaska leguna, skąd jego wiadomości z medycyny, a on na to:

— *Tatunio w Anatomji już dobrych kilka lat za portjera pracuje....*

Też współpraca z profesorami i z medycyną!....

Ale mniejsza. Gorzej, że nam panna Kazia, tak górnie prawiąca o dokładności i obowiązkowości, nie wytłumaczyła dlaczego będąc od tylu lat sekretarką rozmaitych ministerstw, nie postarała się nauczyć tego, co jest najelementarniejszem w fachu każdej sekretarki: mianowicie pisanie na maszynie? Przepisała Marszałkowi wywiad *piórem* — twierdzi, że pozmieniała Mu coś i poprzestawiała — i otrzymała rozkaz sprzedania tego wywiadu którejś gazecie.

*

* *

— *Nigdy nie słyszałam, żeby można było wywiad sprzedać — nigdy nie chodziłam osobiście do redakcji! —* Przepłoszona ciężarem zadania, temwięcej, że przesłyszało się jej, że Marszałek żąda 8000 złotych za artykuł (podczas gdy On jej mówił, że za jeden artykuł zamieszczony w kil-

zi żadaną sumę, zaś oną z wdzięczności, iż redakcja Czerwoniaków nie okazała się taką meliną złodziejską i że nie naruszyła w niczem ani skarbow, ani całości panny Kazi czytuje odtąd stale Czerwoniaki. Myślę, że istotnie tak miłe rozczarowanie, warte tego dziesięciogroszowego serwitutu codziennego, dożywotniego.

Ale *à propos*: w rozdziale malującym wizytę panny Kazi w Sulejówku, czytaliśmy, że artykułów Pana Marszałka nie mogła „przelknąć”, tak były dla niej, subtelnej istotki, okropne, a tu czytamy nagle, że są... bezcennym skarbem.

....o Skarbie mój!

rzeknij tak lub nie, bo zabiję siebie i cię!!!!

Nie naciskajmy panny Kazi o logikę. Zresztą tak się nam bohatersko przedstawiła w owej redakcji, płomienna, cisnąca do biustu pieniądze i rękopis, blada i natchniona, nadsluchująca czy nie idzie w odsiecz Ministerstwo Spraw Wojskowych — tak nam zaimponowała, że w podobnie groźnych warunkach potrafiła „głośno i wyraźnie” odczytać wywiad Pana Marszałka, zamiast belkotać i dzwonić bezbronną zębami, że musimy jej niejedno wybaczyć. Teraz nawet rozumiemy, dlaczego mężną pierś panny Kazi zdobią order, o których każdorazowym nadaniu, powiadamiała naród foremnym sonetem!

*

*

*

Ale — jeszcze jedno *à propos*: dla ciekawości przeglądałam spis „*wywiadów*” Pana Marszałka, znajdujący się w X tomie Pism Zbiorowych i — widzę tylko jeden wywiad w *Expressie* Porannym pod datą 23 luty 1926 r. z czasu zatem, kiedy pannie Kazi jeszcze się nie śniło Ministerstwo Spr. Wojskowych, a raczej kiedy brnęła bez radości ku wili Pana Marszałka w Sulejówku, w podartej sukni.

I znowu z racji owego nigdzie nienotowanego wywiadu miała okazję panna Kazia rozplywać się nad doskonałością Pana Marszałka *jako szefa*. Nie złażał jej za niezrozumienie Jego zleceń, wziął winę na Siebie.

— *Lojalny szef, czytamy, to najrzadszy i najcenniejszy klejnot.*

Ale radość krótka, bo oto „*dużo znakomitych osób było zgorszonych moim korsarskim jakoby myczyńem*“ (zdobyciem 8000 złotych za artykuł Marszałka). „*Podobno gdzieś coś mrzało. Od siebie zreferowałam była odrazu rzecz Szefowi Gabinetu*“. Gdzieżby wytrzymała panna Kazia, żeby się nie pochwalić — mimo że przecież sama powtarza nakaz Marszałka: „*tylko pamiętaj, nikomu ani słówka!!!*“

*

*

*

Siedziała już teraz zupełnie odseparowana od gabinetu Ministra Spraw Wojskowych, bo Marszałek urzędował w Gisz, a ona na Nowowiejskiej. Gisz zlecał wszystko ważniejsze w korespondencji pannie Gertzównie, jak rzekłam wyżej, — mimo to panna Kazia nie abdykowała z wielkości. Dogryzano jej i nie lubiano jej. Poszła więc ze skargą do Gisz i z prośbą o dymisję. Do Pana Marszałka. Pan Marszałek tłumaczył jej, że nikt jej nie obraził, no tak! — ale ona nie chce być w Ministerstwie. Chce odejść. Marszałek, widocznie znużony i znudzony odpowiada:

— *Jak chcesz, ale nie widzę powodu do zmiany....*

Połapała się wtedy panna Kazia, że cośkolwiek przeciągnęła strunę, więc nagle powiada: *zrozumiałam wyrok: to ja już zostanę.*

Do tego, objaśnienie dla siostrzenic: że powiedzenie „*iż nikt jej nie obraził, że nie było obrazy*“, „*to formułka, oczyszczająca, jak w spowiedzi rozgrzeszenie, umożliwiająca rozpoczęcie życia na nowo....*“ Nam się wydaje, że wyrok Marszałka był mniej metafizycznej natury, że poprostu dał jej

do zrozumienia, że wszystkie rzekome obrazy mają źródło w jej bujnej imaginacji.... Ale panna Kazia niezrozumiała.

*

* *

6.6.1929 jest już znowu na audjencji u Marszałka w Giszku. Znowu narzekanie, znowu drapowanie się w uciśnioną niewinność, znowu wymówki:

— *Jabym się nigdy nie była zgodziła opuścić Min. Spr. Zagranicznych, gdybym była wiedziała, że i tu będzie biuro, tylko daleko nudniejsze....*

Nie wiem czego oczekiwała panna Kazia od Ministerstwa Spr. Wojskowych? Nie biura; więc co? skład fortepianów? cukiernia? fabryka trykotaży? Niewiadomo, to tylko jasne, że wykipił ją z lekka Pan Marszałek bo rzekł spokojnie:

— *Przymykiesz. Znasz tą powiastkę o powstańcu na Litwie, którego Moskale powiesili, a swoi w jakiś czas odcięli? Pytali się go: co pan czułeś? a on powada: a nic. Wisza godzina, misza druga, nudno, jeść chce się. Wiadomo, nie przywykszy....*

Nie można chyba kogoś zbyć bardziej po pańsku i bardziej doraźnie. I może przywykła by niesforna panna Kazia, lecz czy do niej przywykli inni?!

A teraz przychodzi ustęp, który mimo skonstatowanej już gruboskórności p. Kazi, ucharakteryzowanej przez nią samą na *księżycowość*, nie możemy bez trudu przelknąć, choć postanowiliśmy serjo jej nie traktować, a całą jej książkę podporządkować rubryce okazji może patologicznych, w każdym razie nie literackich i nie dokumentarnych.

Pisze:

— *Czy mogłam wiedzieć, że ostatni raz jestem przyjęta przez pana Marszałka? Nie mogłam, bo nic tego nie przepowiadało. Czy lepiej by było, gdybym była wiedziała? Nie. Byłabym się była zlekła, że jako? że sama nie dam rady, że stracę na autorytecie...*

A było tak, że następnym razem prosiła o audjencję w roku 1931 — Marszałek odmówił — w 1933 odmówił także, również w 1934. Zdaje się miał definitywnie dość jej fochów i pretensji. Ostani raz zobaczyła Go panna Kazia na przyjęciu w Belwederze 12.12.1934, a w 1935 już nie żył.

Nie zadrżało pióro pannie Kazi — nie uczuła potrzeby zanotowania: że *gdybym wiedziała, że to ostatnie moje u Niego posłuchanie — mówczas! — jakżeby mi się było ścisnęło serce*. Ale panna Kazia ma serce zdrowe: ona żałowała tylko, że straci na... autorytecję.

*

* *

I teraz nasyciwszy nas takimi opowieściami, spokojnie zawiadamia siostrzenice swoje, że od 1929 — 1934, wygłosiła odczytów bez liku po wszystkich kątach Europy.

— *Wiersze przeplatałam opowiadaniem o Polsce. Wiersze były religijne i publicystyczne, z tych ostatnich, wiele o Marszałku.*

Tego nam jeszcze brakowało!!! Jeżeli z dziedziny religji, jako czołowa przedstawicielka ortodoksyjnej literatury katolickiej, wygłaszała takie rymowane bluźnierstwa jak te, drukowane swego czasu w Kurjerze Porannym, a potem wyrzucone na rozkaz sfer kościelnych z wydania książkowego — to musiały włosy stawać dębem nieszczęsnym kapelanom wychodźstwa polskiego, a jeżeli o Marszałku — to podziwiać należy, iż polskie placówki dyplomatyczne w tych krajach, mezaalarmowały centrali i niezabroniły wygłaszania ich. Przypuszczalnie były w tym samym stylu, co omawiana tu książka.

W Wilnie wszakże skreślano jej z afiszów szumne tytuły *sekretarki osobistej, ect. ect....*

*

* *

Zaczął ją nieszczęście prześladować. „Wzrok jej osłabił od czytania podań“, tak, że przestała wogóle zajmować się literaturą (biedny Czerwoniak stracił prenumeratorkę!). Bywać nie mogła, bo każdy do kogokolwiek się zbliżyła, uderzał w nią podaniem i prośbą o protekcję. Jakże?! Najwplywowsza osoba w Rzeczypospolitej!!!

— *Nie można się było nawet dać przeświecić doktorowi, żeby doktor w czasie zabiegu nie prosił o jakieś poparcie...*

Prostu: Szanowna pani! albo pani załatwi mi tą sprawę od ręki, albo puszczam aparat roentgena na milion trzysta sześćdziesiąt tysięcy wolt i pani leży spalona na węglek.

Siada panna Kazia do dorożki, a poczciwy salaciarz wywija batem i powiada:

— Paniusiu! albo panusia mi załatwi tą prośbę, albo kobyłę w try miga skręcam z mostu do Wisły i panna za utopioną ofiarę się zostaniesz...

Nachodzili ją obłąkani, fotografowie, malarze, księża, złodzieje, cietki, a ona, powiada „kręciła się jak słowna koza, co kopyta nadstawia gdzie konie kuja...“ Fe, panno Kaziu! żeby nie wiedzieć, że staropolskie przysłowie mówi o żabie, a nie o kozie! Ale niech będzie koza. Tu wylicza treść niektórych listów prośbanych. Nie byłam nigdy urzędniczką ministerjalną i nikt mnie tam jak pannę Kazię nie „tresował“, więc nie zdaję sobie dokładnie sprawy co można cytować z takich poufnych listów, a czego nie, ale mam wrażenie, że mniejsza była wina pułkownika Becka, gdy przy pannie Kazi raportował coś tajnego Panu Marszałkowi — wiedział już co mógł raportować! — niż urzędowa dyskrekcja panny Kazi, która wysypuje jak z rękawa osobiste wynurzenia setek ludzi, pokładających swoje nadzieje w Marszałku.... Śmiało nawet wyznaje, że odpowiedziała przychylnie na prośbę, aby Pan Marszałek trzymał do chrztu nieślubne dziecko złodzieja, siedzącego w kryminale za kradzież.

*
* *

W końcu zamarzyły się jej odczyty, podróże i właśnie, gdy pan ambasador, jak z lubością zaznacza, obwoził ją samochodem własnym po Italji i gdy się modliła przed relikwiany św. Róży o zdrowie dla Pana Marszałka — Pan Marszałek umierał. *„Postanowionej prosby o dymisję wnieść nie zdążyłam“*. W konsekwencji, uważa więc, *„że było jej dane, nie opuścić Marszałka aż do śmierci“*.....

Przychodzi pogrzeb Józefa Piłsudskiego — najbardziej ponure, najbardziej tragiczne i beznadziejne dni, jakie Polska przeżyła. Wszystko zamarło w grozie i rozpacz — nawet przyroda wtórowała ulewą, piorunami i kataklizmami. Panna Kazimiera nie przejmując się. Wyklóca się. Wyklóca się o miejsce w kondukcji. Przypomina ostro, że jest *„sekretnym osobistym“* i z goryczą stwierdza: *„nie dla mnie miały być kondukt i towarzyszenie trumnie do Krakowa“*(?!?!), lecz kiedy dostała z trudem bilet na wielką, żałobną rewię — ostatnią rewię przed Jego ławetą, samotną, na wzgórzu — oddała bilet ciotce endeczce.

Do Min. Spraw Wojskowych próbowała się dostać, hukając ponad głowy tłumów, że jest *„sekretnym Pana Marszałka“*. Wpuścili ją, ale przed gmachem *„okazały jakiś pułkownik“* ją wyprosił. Robi mimo to wzniosłą uwagę panna Kazimiera, że *„nie czuła zawiści o miejsce“*, o honory, bo przecież umarł Pan Marszałek.....

*
* *

Tak się skończyła karjera panny Kazimiery w Min. Spr. Wojskowych i tak się kończy jej książka, niefortunny debiut literacki. Przeplata ją ona gęsto westchnieniami jakoby żalu, że jest małoduszna, ona, autorka, że jest niczem, ale ledwie to wyrzeknie, już sprężyna odskakuje, już nosek się

zadziiera wdzięcznie i wykład biegnie innym torem. Ona była osią wszytkiego. *Lwem w jaskini lwa, a nie pliszką.* A kiedy się tą książkę, istotnie najbardziej małoduszną ze wszytkich, jakie spod drukarni wyszły, zamyka na patetycznym frazesie: *i tam pomiędzy tymi niezasłużonymi a Panem Marszałkiem, wśród rąk trzymających się trumny, pozostało moje serce*“, kiwa się głową z niesmakiem i całą duszą oponuje:

— Nie, panno Kazimiero! serca nigdy tam nie było, ani nie pozostało. Pani ma zdrowe, normalne serce, przepisowo osadzone między trzecim a piątym żebrem, bijące jak kieszonkowy zegarek, bez zwolnień i przyśpieszeń, nakręcany regularnie, wskazujący nawet precyzyjnie skąd wiatr wieje. Przy trumnie Józefa Piłsudskiego niech go Pani nie każe nam szukać — inne tam pozostały serca! Pani niech zostanie lepiej przy swoim fachu, przy pięknych wierszach, przy religijnych choćby, lecz omijających temat Marszałka Piłsudskiego. Dobrze Pani chciała zareklamować swoje całkiem przeciętne stanowisko, na które padał jeden tylko wyróżniający promień słoneczny, mianowicie, iż działo się to wszystko gdzieś hyperbolicznie blisko Osoby najdroższej nam Marszałka Piłsudskiego. Ale Go Pani nie widziała. Pani widziała wszędzie siebie i tylko siebie, swój interes, swój snobizm, swoje imponowanie ludziom, swoją karierę urzędniczą, swoje awanse. Reszta — błaga! i to błaga pośredniejszego gatunku, podana ze śmieszną i niesmaczną emfazą.

Panie Boże, broń naszą młodzież od tej książki!

Ornamentem memoirów panny Kazimierzy jest motto z ewangelji Mateusza:

— *...a wzięmszy, szemrali przeciw gospodarzowi, mówiąc: ci ostatni jedną godzinę robili, a uczyniliś ich równymi nam, którzyśmy znosili ciężar dnia i upalenia...*

Jeszcze jedno ze złudzeń panny Kazimierzy! Nie uczynił ich Gospodarz równymi. Miał rację ten nieprzyjemny „pułkownik bez nogi“, broniąc zasłużonych. Panna Kazimiera, tak jak nie rozumiała całej tragedji dziejowej i całego

trjumfu Polski Odrodzonej, redukując je do kwestji swoich prywatnych sukcesików towarzyskich i urzędniczych, tak i nie rozumie w danym wypadku *nieaktualności* tego wersetu. Nikt nie zrówna tych, niemających i godziny trudu za sobą, z owymi, którzy życie swoje poświęcili bez reszty jednej olbrzymiej sprawie, personifikowanej przez Józefa Piłsudskiego.

Dlatego skoro chce już koniecznie operować werseta-
mi biblijnymi panna Kazimiera, podsuwam jej inny, dale-
ko w zastosowaniu do jej książki celniejszy:

— ...abyś opowiedział niektórym, żeby się nie bawili ba-
śniami, które raczej gadki przynoszą, niżli zbudowanie.
(Paweł do Tymoteusza. Rozdz. I, 4).

Warszawa, styczeń 1939.



Rzecz szczególna. Książka panny K. Iłakowiczówny „*Ścieżka obok drogi*” została zakwalifikowana przez wojskowy Instytut Badania Najnowszej Historji Polski, jako nienadająca się do publikowania, o czem powszechnie mówiono — z tego powodu zapewne, nie została wydana przez Księgarnię Wojskową — tymczasem w Polsce Zbrojnej znajdujemy pod datą 13.1.br. entuzjastyczny feljeton w dziale: „*Książki marłościowe*” (!?) o „*Ścieżce obok drogi*”, zalecający gorąco tą książkę jako „*pierwszorzędną lekturę dla młodzieży*”. Najcharakterystyczniejsze z tego wszystkiego, że pod recenzją, widnieje podpis p. Jerzego Pietrkiewicza oenerowca, który równocześnie drukował w katowickiej, oenerowskiej Kuźnicy hymny na cześć Dmowskiego:

*Oto schylił się żalobnym cieniem
ponad Polską Żołnierz Bez Munduru —
rozedrzyjcie najgłębszą mogilę
i klepsydry rzucajcie w twarz murom.*

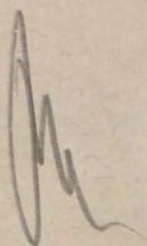
*Gdy się naród przejrzy w swoich znakach,
gdy jak pomnik stanie przy mogile —
broń ukuje z żalobnej troski
i obudzi Cię w dźwięczącej sile,
Romanie Dmowski!*

Że p. Pietrkiewicz znalazł ten sam entuzjazm dla panny Iłakowiczówny co dla Dmowskiego, to rzecz zrozumiała — (pierwszy telegram kondolencyjny exre śmierci R. Dmowskiego pochodził też od panny Iłakowiczówny i nigdy się nie kryła ona ze swoją endeckością, poza interesempekuniarnym, który ją wiązał z Min. Spr. Wojskowych), ale żeby „*Polska Zbrojna*” zachwalała plody ducha tego rodzaju co „*Ścieżka obok drogi*” i to zachwalała głosem oenerowca p. Pietrkiewicza, to zaiste dziw nad dziwy....

M. J. W.



12-
5828/v 13.9.68

A handwritten signature or set of initials in dark ink, consisting of a large loop followed by several smaller, connected strokes.